ROZMAITOŚCI.

Dnia 8 sierpnia, N$^{er}_{»}$ 32. roku 1846.

## Niestateczna natura miłości.

Zmierzchało się już w wiosce Rayland, leżącej w jednéj z najpiękniejszych okolic zachodniéj Anglii. Błyszczące gdzieniegdzie między polami wody jaśniały podwójną zorzą ostatnich promieni zachodzącego słońca i wznoszącego się tam po wschodniém niebie księżyca. Byłato godzina czuwania i dumania dla kobiet, a zasypiania dla dzieci i dla starców. Rzęśnie po drodze zasadzone topole i krzewiste wonne akacyje, ciemniały z dala w omroku wieczora, i wydawały się tylko jak duże cieniste masy. W głębi za niemi widać było niewyraźnie wiejskie chaty i domki.

Nic nie przerywało głębokiéj ciszy i spokojności, panującéj w całéj krainie, gdy wtém dał się słyszéć nagle tętent dwóch szybko nadbiegających rumaków. Na jednym z nich jechał młody, po pańsku ubrany mężczyzna, na drugim jego służący, a zwróciwszy z gościńca w bok ku siołu, pospieszyli obaj krętą wązką drożyną ku bielejącemu zdala dworowi. Na każdym innym wędrowcu byłby poetyczny urok téj cichéj wieczornéj okolicy nie omieszkał zapewne żywego sprawić wrażenia; lecz z pospiechu, z jakim nasz młody panicz spinał konia ostrogami, można było poznać, iż mu pilno było dobiedz celu podróży.

Niebawem stanęli rumaki przed bramą kracianą pięknego wiejskiego pomieszkania, a na lekkie zastukanie służącego, otworzono natychmiast bramę.

„Jeźli pan Fitz-Walter jest w domu,” — ozwał się nieznajomy — »tedy proszę mu oznajmić przybycie lorda Aylesbury.”

„Spieszę milordzie;” — odrzekł służący dworski z uszanowaniem. — „Może pan będzie łaskaw zaczekać nieco na mego pana?”

To mówiąc zaprowadził lorda do salonu i zostawił go tam samego. Lord Aylesbury usiadł sobie na sofie i spoglądał w roztargnieniu po salonie. Po chwili, gdy pan Fitz-Walter jeszcze nie nadchodził, młody gość jego zaczął z niecierpliwości wszystkim szczegółom salonu dokładniéj się przypatrywać. Byłato duża komnata obłęcznego kształtu. Na środku stał ładny stół marmurowy, na którym stosy dzienników i almanaków leżały. Wszystkie prawie ściany były okryte obrazami włoskiéj i niderlandzkiéj szkoły. Naprzeciw komina stał roztworzony fortepijan, cała przestrzeń między obudwoma oknyma była zajęta konsolką, na któréj stała waza z kwiatami, a w głębi widać było arfę hebanową.

Najbardziéj jednak zwróciły na siebie uwagę lorda dwa portrety kobiéce, wiszące po obu stronach komina. Jeden z nich wyobrażał piękną blondynkę, około lat szesnastu, i bardziéj greckich niż angielskich rysów twarzy; obraz ten miał w sobie więcéj zmysłowéj ponęty niż dziewiczego wdzięku, i zdawał się być przydatniejszym na model dla zwolennika złudnych, światowych malowideł Albana, niż należéć do szkoły mistycznego Rafaela. Drugi portret wyobrażał młodą dziewczynę o dużych niebieskich oczach, z anielskim urokiem na twarzy. Jeżeli widok jéj towarzyszki każdego tylko miłością przejmował, tedy ona przejmowała patrzącego uczuciem czci i zachwycenia.

Takie były uwagi lorda Aylesbury; a ponieważ on jeszcze panny Fitz-Walter nie znał, więc bez wahania wystawił ją sobie w postaci owéj powabnéj blondynki na portrecie. Jesteśmy zawsze skłonni, wierzyć w to, czego sobie życzymy. Żywa wyobraźnia młodego lorda bujała w tysiącznych miłych przeczuciach i iluzyjach, gdy wtém lekki szelest z tego marzenia go przebudził. Wolnym, półcichym krokiem weszła do pokoju postać kobiéca. W mgnieniu oka poznał lord w niéj tę jasnowłosą czarodziejkę, któréj portret tak silne na nim sprawił wrażenie. Tylko iż w rzeczywistości była ona o kilka lat starszą, a jeźli można, jeszcze piękniejszą i powabniejszą.

„Pan Fitz-Walter przysyła mię do ciebie milordzie,” — ozwała się wchodząca — „aby cię przeprosić, iż nie może jeszcze zejść do salonu. Żałuj go milordzie, gdyż musi on niemiłe odwidziny przyjmować. Ale może niepotrzebnie sprawiam się ze swego poselstwa;” — dodała z lekką ironiją — »Jak widzę, milord byłeś tu w miłém towarzystwie, zabawiałeś się w duchu ze swoją narzeczoną.”

„Mylisz się pani,” — odrzekł Aylesbury — „nie jestem ja owym urojeńcem, który zaniedbując pię- piękną rzeczywistość, modli się do martwego posągu. Lubię ja się wprawdzie przypatrywać portretowi, ale z daleko większą ochotą podziwiam żywy jego oryginał, i z duszy jestem wdzięczny ojcu pani, iż tak pięknego posła do mnie wyprawił.”

Na ustach młodéj damy mignął uśmiech zadowolenia.

„Jedynym zamiarem mego wuja”— odpowiedziała z przyciskiem ostatniego słowa — »było dowieść ci milordzie, iż się tu o tobie nie zapomina.... Gdyby nie ja, mógłbyś milordzie był myśléć, że dóm ten wcale niezamieszkany. Pańska narzeczona kryje się, i lęka się swego narzeczonego, jest zbyt nieśmiała.... Przypatrz też się milordzie dobrze jéj portretowi, a potém powiész mi, czy się bardzo odmieniła. Ach, mój Boże, ma ona jeszcze zawsze ten sam szczéry, naiwny wzrok, to samo niewinne lice, na którém tylko spokojne uczucia dziecinnych lat się malują. Jesteś milordzie bardzo szczęśliwym; w małżonce swojéj znajdziesz razem przyjaciółkę i uczenicę.... A mówią iż mężczyźni są radzi temu, jeźli uległość i powolność u swoich towarzyszek życia zastaną. Przynajmniéj nieboszczyk mój mąż często mi to powiadał.”

Człowiek, przeciw wszelkim rodzajom pokusy ubezpieczony, byłby w tych chytrych słowach z łatwością jakiegoś podstępu dostrzegł, ale lord Aylesbury był już zanadto zaślepiony, aby podobne uwagi nasunąć mu się mogły. Słowa zalotnicy byłyto strzały, które zrecznie wymierzone, całe jego serce płomieniem zajęły. Ubolewał on w duszy nad przypadkiem, co mu właśnie w téjsaméj chwili, kiedy miał wejść w związek, ułożony oddawna przez jego i pana Fitz-Waltera rodzinę, sprowadził znajomość kobiéty, któréj piekność bez wątpienia ziarno niezgody w jego przyszłe małżeńskie pożycie zasieje; bo chociaż Aylesbury nie zupełnie jeszcze w swoję miłość do pięknéj synowicy pana Fitz-Waltera wierzył, przecież musiał on sobie wyznać, iż nie zdoła kochać swéj narzeczonéj.

Przeciwnie towarzyszka jego, pojęła to doskonale, jakie wrażenie widok jéj na nim uczynił, a w niecierpliwości odniesienia zupełnego zwycięztwa, którego skutki nie mogły być pomyślne dla przyszłéj pary, nie zważała na nic, i niczego nie pragnęła, jak tylko przyćmienia swojéj biédnéj młodszéj kuzynki. Jeszcze godzina nie upłynęła, a już podbicie młodego lorda, zdało się jéj być rzeczą skończoną, już nie lękała się przybycia narzeczonéj, lecz owszem oczekiwała téj chwili z oziębłą krwią jenerała, który niechybną klęskę chce zadać nieprzyjacielowi.

Nareszcie otworzyły się drzwi, a mały, ruchawy staruszek wszedł spieszno; byłto pan Fitz-Walter.

»Jesteś mi przecież raz tutaj, mój kochany Edgarze!” zawołał ściskając serdecznie swojego gościa. »A to pięknie! W sam czas przybywasz!... Wyborny z ciebie chłopiec!... Uściskajże mię przecież! Uściskaj nas wszystkich.... moję córkę, i moję synowicę; pozwalam ci to... No pójdźcież tu: lady Sara Mortimer.. . pójdź tu Madelino.”

Na to ostatnie wezwanie zbliżyła się młoda dziewczyna, która dotąd za panem Fitz-Walterem się kryła, i spuściwszy oczy ku ziemi, przystąpiła nieśmiało do lorda Aylesbury. Ten, zwyczajem angielskim, ucałował ją po bratersku w czoło, lecz dotknąwszy się ustami różanych lic pani Mortimer, uczuł gwałtowne bicie serca. Na szczęście, był pan Fitz-Walter tak rozradowanym i mówił tak wiele, iż zmieszanie biédnego narzeczonego, uwagi jego uszło. Zacny staruszek brał wnet Madelinę wnet lorda Aylesbury za ręce i mówił:

„Wiész co, Edgarze; jesteś bardzo podobnym do sławnego księcia Buckingham, który cały dwór Ludwika XIIIgo w zamieszanie wprawił. Ten sam zarys profilu, ta sama rycerska postawa. Ach, byłbyś niezawodnie królowę Francyi w sobie rozkochał... ale co niemniéj pochlebném jest dla ciebie, potrafisz także moję Madelinę zająć i przywiązać do siebie; jest ona tak dobra, tak łagodna!...”

„Zaiste, jest bardzo miła...” rzekł Aylesbury melancholijnie, i nie zwracając oczu ku poetycznemu obliczu Madeliny, utkwił je mimowolnie w oblicze pięknéj Sary.

Już zaraz dnia następnego zaczęli się zjeżdżać liczni sąsiedzi i krewni pana Fitz-Waltera, zaproszeni na wesele. Edgar musiał jak mógł odpowiadać na wszystkie słówka etykietalne, znosić jak mógł zazdrosne przymówki przejrzałych panien i ich matek, ukrywać niespokojność, jaka zawsze na widok Sary go ogarniała, a wreszcie na uniesienia radości swego przyszłego teścia się uśmiéchać. Podczas gdy wszyscy obecni, roztargnienie i zadumę jego przypisywali wzruszeniu, które zwykle chwilę zaślubin, jako początek nowego okresu życia poprzedza; on uczuwał już niewysłowioną męczarnię zazdrości. Nie mając żadnego prawa do śledzenia kroków i spojrzeń pani Mortimer, uważał on trwożnie najmniejsze jéj poruszenie, każdy wzrok jéj, a nie jedno gorzkie słowo zamarło mu niewymówione na ustach. Miłość jego, jakkolwiek niedawna, przybrała już charakter despotyczny.

Lady Sara postrzegła z zadowoleniem tę jego coraz żywiéj wzmagającą się niespokojność; lecz zamiast coby miała była uczuć ztąd wyrzuty sumienia, była owszem dumną zwycięztwem swojém, i starała się radziéj pogorszyć niż naprawić, co już się stało. Przez kilka dni podwoiła ona swoję uprzejmość i kokieteryję, a liczne grono otaczających ją wielbicieli, wspierało ją niepowiadomo w jéj okrutnych zamiarach; bo nie to, iż sobie powiemy: ta

lub owa kobiéta jest piękną, wznieca w nas miłość, lecz to, iż wszyscy też samo uczucie i to samo zdanie, nieustannie przed nami powtarzają. Przytém znała się pani Mortimer tak dobrze na sztuce trzymania swych wielbicieli na pasku, iż się wydawała wszystkim jak istota wyższa, jak bogini, owiana kadzidłem podziwu i pochwał.

Edgara zmysły były całkiem upojone namiętną miłością. Rodzina, narzeczona, obecni goście, świat cały — wszystko mu zniknęło zprzed oczu. Nic nie było w stanie oprzéć się jego namiętności. Nie myślał on wcale o tém, iż odstępując od zamierzonego zamęźcia, zasmuci swego ojca, obrazi śmiertelnie narzeczonę; to wszystko było mu niczém. On stracił wszelką władzę zastanowienia się nad sobą.

W dzień przed weselem, nad wieczorem, udało się całe towarzystwo do parku. Jedni zwrócili się ku stawu, aby się w łodziach przejechać; inni wyszli na wysoką terasę, aby ztamtąd pysznemu widokowi zachodzącego słońca się przypatrzyć. Pan Walter zostawił Madelinę z Edgarem, i bądźto iż chciano ułatwić narzeczonym chwilę samotnéj rozmowy, bądź iż lord sam ochoty do łączenia się z towarzystwem nie miał, i przeto kroku zwolnił, dość, że wkrótce oboje narzeczeni ujrzeli się znacznie od innych oddalonymi.

Przez kilka minut nie mówili nic do siebie. Myśli lorda Aylesbury błąkały się za Sarą, a Madelina spoglądała tylko chwilowo i bardzo nieśmiało na swego narzeczonego. Nareszcie odezwał się Edgar w kilku obojętnych wyrazach do Madeliny. Zapytał on ją, czy spokojne życie wiejskie więcéj jéj się podoba niż gwarne życie w mieście.

„Żyłam dotąd zawsze na wsi,” — odpowiedziała — „i nie wiém, jak mi się wyda miasto ze swojémi balami i towarzystwem wielkiego świata. Wszelkie myśli moje były podziśdzień jedynie ku wewnętrznemu szczęściu zwrócone. Mój ojciec zepsuł mię nadmiarem swojéj miłości; jednakoż zapewnia on mię o tém, iż pan mię kochać będziesz, i że będę szczęśliwą.”

„I niesłusznie pani téż czynisz,” — odrzekł lord Aylesbury — „jeźli się lękasz o przyszłość swoję. Tak, będę panią kochał,” — dodał z wymuszonym uśmiéchem — »kiedy już teraz kocham panią.”

To zwodne wyznanie wywołało żywy rumieniec na zwykle blade lica panny Fitz-Walter. Zdało się Edgarowi, iż jéj ręka zadrzała w jego ręce. Tych sam na sam wymówionych słów kilka, byłyby wystarczyły zapewnić Madelinie serce lorda Aylesbury, gdyby on jeszcze miał był władzę nad swojém sercem; lecz w obecnym stanie rzeczy zarzucał on sobie, iż podchodzi łatwowierność niewinnéj dziewczyny, i nagle zamilkł. Tymczasem dały się słyszéć głosy blizkiéj, półcichéj rozmowy. Edgar obróciwszy się, postrzegł lady Sarę i Karola Elmore, jednego z najniebezpieczniejszych wielbicieli młodéj wdówki. Zalotny baronet zdawał się czynić kokiecie namiętne wyznanie miłości, na które ona wesołym uśmiéchem odpowiadała, nie usuwając mu przecież swojéj ręki. Po chwili odeszli oni w głąb ogrodu i znikli w gęstéj topolowéj ulicy. Edgar użył wszelkich sił przezwyciężenia, aby nie opuścić Madeliny i nie pobieżéć za kochanką, za którą go zazdrość gnała. Wszakże wymógł to na sobie; ale zarazem pospieszył złączyć się z najbliższém gronem towarzystwa, i poruczył mu Madelinę, wymawiając się potrzebą odejścia dla napisania listu do ojca. Lecz skoro się od etykiety uwolnił, pobiegł coprędzéj w ulicę lipową, w któréj Sara i Elmore z oczu mu zniknęli; ale nadaremnie, bo już ich tam nie zastał. Dopiéro po niejakiéj chwili ujrzał oboje pośród gości, i odtąd uważał ich zazdrosném okiem zdradzonego kochanka. Właściwie Edgar nie miał powodu niepokoić się tém, co widział, gdyż obejście się Sary z jéj wielbicielem, było prawie szydercze, a spojrzenia jéj ledwie że pogardy nie wyrażały; lecz zbytek miłości odejmuje zdrowe widzenie rzeczy, a młody lord, który w baronecie szczęśliwego rywala miéć sądził, dotkliwie tém urażony, zapalczywie zemsty zapragnął.

Przedewszystkiém potrzeba mu było jakiegoś prawa, aby baronetowi sprzyjania Sary zaprzeczyć. Mógłże on z tém jako narzeczony Madeliny się odezwać? Miałże on w obliczu ołtarza, w chwili, kiedy kapłan przysięgi wierności od niego żądał, znieważać swe przyrzeczenie i obrazić zarazem Boga i ludzi, oddając się wzbronionéj namiętności? Nie — należało mu naprzód odzyskać wolność, wyłamać się zpod jarzma despotycznie narzuconych mu obowiązków. Edgar zapomniał, iż chwila, kiedy pochodnię Hymena już zapalono, nie jest porą do jéj zgaszenia. Jednakowoż powziął zamiar opuścić nazajutrz dom, który mu się wprzódy zdawał być świątynią szczęścia, i rozkazał groomowi, miéć nazajutrz rano konie w pogotowiu. Poczém usiadłszy do stolika napisał długi list do swego ojca, w którym mu swoję miłość do Sary wyznał i oświadczył, iż nie może żadną miarą zaślubić Madelinę.

Jeszcze pismo listu nie wyschło, gdy groom wszedł z oznajmieniem, iż rozkazy jego spełnione, a zarazem doręczył mu list, od pana Fitz-Waltera otrzymany.

Edgar spojrzał i poznał rękę swojego ojca. Szlachetny ten starzec pisał do syna co następuje:

„Kochany Edgarze!

Wiész iż moje nadwątlone zdrowie nie dozwala mi szczęścia być obecnym przy twoich zaślubinach, i mimo najlepsze chęci, we Włoszech mię zatrzymuje. Przyjm więc najszczérsze życzenia od najprzychylniejszego z twoich przyjaciół. Widzę ja cię w myśli wraz z twoją nadobną Madeliną i podzielam radość waszę. Ten związek, nad którego urzeczy-

wiszczeniem przez całe życie pracowałem, i który ostatek dni moich słodzi, stał się taką potrzebą życzeń moich, iż gdyby przez jaki nieprzewidziany wypadek nie przyszedł do skutku, potrąciłby mię żywcem do grobu. Edgarze, często ci wspominałem, ile winien jestem panu Fitz-Walterowi; ochronił on mię od niechybnéj utraty całego majątku; teraz daje on mi nowy dowód swojéj życzliwości, dając ci rękę swojéj córki; na ciebie więc kolej spłacić mu dług wdzięczności. Bądź mi zdrów, drogi synu, błogosławię ci z całego serca."

Lord Aylesbury położył w milczeniu list ojcowski na stole, a wziął do ręki ten, który przed chwilą do ojca był napisał; podniósł go nad palącą się świécą, i patrzył w zamyśleniu, jak go płomień chłonął. Poczém westchnął głęboko, i obróciwszy się do służącego, rzekł:

»Dżonie, nie ma już potrzeby mieć konie w pogotowiu, nie wyjedziemy jutro. Nie mów nikomu, com ci był wprzód rozkazał. Rozumiész mię?"

* *
*

Miesiąc upłynął od zaślubienia lorda Aylesbury z panną Fitz-William. Jeszcze w dzień wesela udali się nowożeńcy do zamku Aylesbury, i zamierzali wyjechać ztamtąd do Włoch, gdzie ojciec Edgara ich oczekiwał. Wtém nadeszła wiadomość o śmierci czcigodnego starca, i zniweczywszy wszelkie plany podróży, zasępiła jeszcze bardziéj melancholijne pożycie obojga młodych małżonków. Edgar spodziéwał się, iż oddalenie poskromi jego namiętność dla lady Mortimer, lecz ono jeszcze gwałtowniéj ją wzmogło. Nie było godziny, w którejby imię Sary na ustach jego nie postało, w któréjby obraz téj czarodziejki nie pojawił się myślom jego. Dręczony niewysłowioną tęsknotą, zasyłał on jéj nieme oświadczenia miłości, a nieraz zdało mu się, jakby znajomy głos jéj uszu jego dolatał, tchnienie jéj, lica mu owiéwało, jéj ręka jego ręki się dotykała....

Zdało mu się także często, że widzi surowe oblicze starego ojca.... ależ mógłże on się tak prędko wywikłać z zgubnych sideł téj nieszczęsnéj namiętności, która mu w serce wrosła? Jak owa zatruta szata Nessusa na Herkulesie, wciskała się ona témostrzéj w niego, im usilniéj on ją chciał otrząść z siebie. Nadmiar boleści zagłuszył w nim głos sumienia, samolubstwo kochanka zatarło w nim litość małżonka. Obejście się jego z Madeliną było oziębłe, przykre; a że nikogo nie było, ktoby mu to mógł był zganić, ona zaś sama nigdy ani jedném słowem się nie użalała, więc trwał on bez względu w swojém niemiłosierném postępowaniu. Lady Aylesbury znosiła tę obojętność z anielską cierpliwością, łudząc się tą myślą, iż śmierć ojca jest przyczyną ponurego usposobienia jéj małżonka.

Lecz czas i doświadczenie rozwijały jéj charakter, i z każdym dniem zbroiły ją w większą odwagę i rezygnacyję. Cierpiała ona i płakała; — ale wznioślejsza w swojéj boleści, ukrywała w głąb serca jéj przyczynę. Biedna Madelina, przyzwyczajona do uprzedzającéj uprzejmości swojéj rodziny, doznawała moralnie tegoż samego przykrego uczucia, jakiego się doznaje przechodząc z ciepłéj w zimną atmosferę.

Pewnego poranku, po przechadzce w parku, wracał lord Aylesbury do zamku. Zatopiony w myślach, chciał właśnie do letniego wejść salonu, i usłyszał melancholijne dźwięki fortepijanu, wydobyte ręką Madeliny. Stanął i słuchał. Strumień smętno-harmonijnych tonów płynął kolejno w powietrze. Była to znana angielska balada »O córce mularza", opowiadająca smutek dziewczyny, opuszczonéj od swego kochanka. W miarę jak fortepijan coraz rzewniéj jéj żal symboliczną swą mową ogłaszał, odzywały się coraz żywiéj w Edgarze nieznane dotąd uczucia. Jakaś bolesna lubość go owładła, zdało mu się, jakby akordy muzyki w jakieś niewidzialne zamieniły się nitki, i do jednego miejsca go przywiązały. Głos fortepijanu zamilkł, ostatnie westchnienie „córki mularza" przebrzmiało, i nastąpiła głęboka cisza. Lord Aylesbury, jakby brzemieniem uczuć przyciśnięty, stał przez chwilę nieruchomo na jedném miejscu. Jakaś rzewna litość zdjęła go dla osoby, szukającéj pocieszenia w téj smutnéj nucie, i zawiodła go ku drzwiom salonu. Otworzył je zlekka i ujrzał Madelinę siedzącą jeszcze przy fortepijanie; jedną ręką wspiérała schyloną w dół głowę, drugą spoczywała bezsilnie na fortepijanie. Lord Aylesbury zbliżył się jaknajciszéj do biednéj samotnicy. Stanął tuż za nią, i nachylił się, aby jéj w twarz spojrzéć. Madelina, jakby zgadując poruszenie Edgara, wydała wykrzyk przelęknienia, i podniosła zwilżone łzami oczy ku niemu.

»Ah, to pan jesteś, milordzie!" zawołała. „Mocnoś mię pan przestraszył."

„Przestraszyłem?" rzekł Edgar z uśmiéchem.

Madelina zarumieniła się; długie jéj rzęsy zwisły, urocza wstydliwość skrasiła jéj dziewicze lice. Po raz piérwszy dostrzegł Edgar, jak piękną jest lady Aylesbury, po raz piérwszy zachwycił go widok téj ujmującéj postaci, któréj nagłe, radośne zdziwienie, oczy łzami zrosiło. Wzruszony w głębi serca, ujął Madelinę za rękę, i do ust ją przycisnął, ale w téjże saméj chwili, kiedy może chciał się jéj do nóg rzucić, otworzyły się drzwi, i lady Sara weszła.

* *
*

Niespodziane przybycie pięknéj wdowy przeraziło Edgara. Twarz jego powlokła się bladością, dłoń Madeliny wysunęła mu się z ręki. Pani Mortimer zaś odpowiedziała szyderczém skłonieniem głowy na ukłon Edgara, i z niezwyczajną żywością uścisnęła Madelinę.

„O moja droga Saro!” zawołała pani Aylesbury. „Jakże rada jestem widzieć cię tutaj! Czyż będziemy mieli długo to szczęście goszczenia cię u siebie?”

„Wątpię,” — odpowiedziała Sara niepewnie — „może dzień jeden.”

Mówiła to spoglądając na Edgara, jakby oczekiwała, czy i on ją o to prosić będzie; lecz Edgar milczał.

„To niegrzecznie, Saro!” rzekła lady Aylesbury. „Przed mojém weselem przyjmowałaś zawsze zaprosiny ojca mojego, bawiłaś z nami nieraz po kilka miesięcy na wsi, a teraz....”

„Jestto również i z pani strony, niegrzecznością,” — ozwał się Edgar do żony — „nalegać tak uporczywie na lady Sarę. Nie trzeba jéj psuć jéj planów.”

„Otóż milord słusznie mówi,” — rzekła lady Mortimer — „zwłaszcza, że byłoby to występkiem, przeszkadzać państwu w używaniu pierwszych chwil cukrowych.”

„O, niedobra! wiesz ty dobrze, jak ja cię kocham.... Milordzie, toż pomóż mi pan przecie przytrzymać tę niewdzięcznicę.”

Edgar widział sie zmuszonym prosić milady, aby została.

„Rób co chcesz!” zawołała Madelina wesoło jak dawniéj. „Gniewaj się Sara, ale my cię już ztąd nie puścimy.”

„A gdybym ja się zanadto w mojém więzieniu rozmiłowała?”

„Tedy zatrzymalibyśmy cię na zawsze przy sobie. Jednakże pozwól abym się na chwilę oddaliła, wydać niektóre zlecenia. Tymczasem milord będzie cię bawił.”

To mówiąc, uśmiéchnęła się, i pełna zaufania w ukochane sobie osoby, odeszła.

Edgar i Sara stali zrazu naprzeciw siebie w milczeniu. Oboje byli zmieszani; Edgar zanadto wzruszonym, aby mógł był słowo przemówić. Lady Sara spojrzała nań swémi prześlicznémi czarnémi oczyma, których wyraz, zarazem czuły i szyderczy, jeszcze bardziéj zmieszał Edgara.

„Jesteś więc żonatym, milordzie;” — rzekła — „i należysz do szczęśliwych. Chciéj się tylko szczérze przyznać, iż mię masz za bardzo natrętną, że ci tak niezręcznie w twojém poetycznèm odosobnieniu śmiém przeszkadzać. Ach, gdyby mię téż jakim grzecznym sposobem wyprosić ztąd można! Nie prawdaż?”

„Podsuwasz mi pani myśli, których ja wcale nie mam. Zamęzcie nie odjęło mi tak dalece wszelkiego zamiłowania towarzyskości.”

„Dla czegoż kryć się z tém? Lękasz się milordzie, abyś nie okazał się nietowarzyskim. O, mój Boże, wszakto wszyscy, którzy kochają, są takimi odludkami... przynajmniéj na jakiś czas staje się świat dla nich nudnym, i stronią od niego. Lecz to nie dobrze, bo jeżli prawda, co niektórzy pedantyczni moraliści utrzymują, że zetknięcie się ze światem, jest śmiercią miłości; tedy ja utrzymuję, że ono owszem miłość wzmacnia. I dlatego, zamiast iść za przykładem twoim, milordzie, użyję przeciwnego środka do zapewnienia sobie miłości męża mego; a ponieważ mam zamiar, mój stan wdowi zamienić za inny mniéj smutny, więc zaręczam panu, iż tego samego dnia, w którym sir Elmore swojém nazwiskiem mię udaruje, uczynię dom mój przybytkiem wszelkich uciech towarzyskości.”

„Pani chcesz iść za mąż?” zawołał lord Aylesbury głosem wzruszonym.

„Tak jest. Albożto tobie samemu, milordzie, miałby ten przywiléj służyć?”

„Idziesz pani za sir Elmora?” — mówił Edgar z niezwykłą żywością daléj. „I zastanowiłażeś się nad tém? Jestżeś pani pewną, że sir Elmore istotnie na miłość pani zasługuje? A gdybyś pani w nim ukrytego tyrana, fanatyka dostrzegła? Gdyby on pod maską prawego, śmiałego człowieka, ukrywał charakter niegodziwy? Cóżby się natenczas z panią stało! Kobiéta tak wzniosłego umysłu, takiego urodzenia, takiéj piękności, powinna się zanadto cenić, aby tak lekkomyślnie losem swoim rozrządzać miała. Chceszże pani być podobną do owych dziewcząt, które bez własnéj skłonności, jedynie z posłuszeństwa za mąż idą?”

„A zkądże pan wiesz, iż ja nad tém się nie zastanowiłam? Panеś tak surowo mego narzeczonego osądził, iż mię to prawdziwie mocno zdumiéwa. Ztémwszystkiém pozwól mi się pan zapytać, czy wiész co złego o baronecie, czy byłeś kiedy świadkiem jakiego nieuczciwego czynu jego? Proszę pana oświécić mię. Przyjaźń jego ku mnie wymaga tego, abyś był szczérym dla mnie.”

„Nie słyszałem nic złego o baronecie. Przyznaję, iż wszyscy o nim jaknajkorzystniéj mówią; jedynie udział, jaki los pani we mnie wzbudza, skłonił mię....”

„Uwiadomić mię o urojonych niebezpieczeństwach tego związku, naprzód mię zastraszyć?.... Ale nie jestem ja tak bardzo lękliwą, i zdaję się na opatrzność. Zresztą... kocham pana Elmore.”

„Kochasz go pani! To niepodobna! Ledwie miesiąc temu, zdawało się, iż serce pani jest wolne.”

„Wybornie! Naprzód wystawiłeś mi pan zamęzcie w najgorszém świetle, a teraz chcesz lepiéj ode mnie znać tajemnicę serca mojego!”

„O, pani! miłość zdradza się każdéj chwili; nadaje wcale inny cień głosowi, inny wyraz czułości spojrzeniu. A głos pani był wcale obojętnym, gdyś mówiła z baronetem, a w oku pani nie było iskry miłości.”

Lord Aylesbury zapomniał wrażenia dnia owego,

gdy rozmowa Sary z baronetem tak silnie mu dojęła. Wprzódy przypisywał on owszem zbyt wiele miłości spojrzeniom pani Mortimer, wprzódy zaślepiał go zbytek zazdrości; teraz dawał on się zbytnią żądzą i nadzieją unosić, a lady Sarę cieszyła ta męczarnia jéj niewolnika.

»Tak jest,« — ozwała się pani Mortimer — »myślałam ja także, iż miłość ukryć się nie da.«

A mówiąc to, wpatrzyła się tak mocno w Edgara, iż musiał się odwrócić.

„Przypuszczam milordzie, że mnie może tylko okoliczności, konwenijencyje do zaślubienia pana Elmore zniewalają. Ale cóż to ma do rzeczy. Miłość nie jest żadnym z warunków intercyzy, a tylko szacunek jest niezbędnie w małżeństwie potrzebnym, miłość zaś rzeczą zbytkową.«

„Wszakże właśnie ta rzecz zbytkowa odejmuje życiu tę nudną jednostajność, która nas zabić może; ta rzecz zbytkowa jedynie chroni nas od wyrzutów sumienia, utrzymuje nas na prawéj drodze, dozwalając nam uczciwym sposobem tego, cobyśmy inaczéj, nieraz kosztem czci i sumienia okupić musieli. Ta rzecz zbytkowa jest ochroną przeciw wykroczeniom, zabezpieczeniem się od nieszczęścia.«

»Co za szumne frazesy, milordzie! Zchodzisz w krainę romantyczności.«

„Mówię prawdę, milady. Prędzéj czy późniéj każde serce zażąda należącego mu się udziału miłości. Ale cóż pozostaje nieszczęśliwemu, który skrępowany przedwczesnémi związkami, uczuje wtedy dopiéro prawdziwą, głęboką namiętność w sobie, gdy mu ona już spokój całego życia zatruć może? Cóż mu natenczas pozostaje, milady? — Samobójstwo.«

»Natenczas pozostaje mu naprzód rezygnacyja, a potém, gdy się przekona, iż namiętność silniejszą jest niż on sam, gdy uzna, iż wyłamując się na wolność, uwolni oraz z niesprawiedliwéj niewoli i tę ofiarę, którę z nim nieszczęsny związek pałączył; natenczas pozostaje mu w Anglii w podobnym razie — rozwód.«

Te ostatnie słowa obłąkały Edgara zupełnie. Sara zdała mu się być jedną z owych dawnych czarnoksiężnic, które ofiary swoje wraz z sobą ciągną w ten błędnik, z którego już żadnego wychodu nié ma. Jak tonący rozbitek postrzegł on zdala zbawienny promyk nadziei, lecz aby się do portu przebić, musiał on oddać falom towarzyszkę dni swoich, musiał stać się niewdzięcznym. Występne życzenie ogarnęło mu serce. Pochwycił on je zrazu z wielką rozkoszą, ale po krótkim namyśle, odrzucił je ze wzgardą. Nieszczęśliwszy jeszcze niż przedtém, gdyż był nim teraz z własnéj woli, unikał Edgar odtąd towarzystwa lady Mortimer. Siedział po całych dniach w swoim pokoju. Podobny owemu choremu, który na śmierć się przygotowuje, a przecież żyć pragnie, i wnet po uzdrawiające lekarstwo sięga, wnet znowu je od siebie odtrąca — walczył on mężnie aż do chwili, w któréj lady Sara o wyjeździe swoim wspomniała. Sir Elmore, mówiła, czeka na nią w Londynie, aby się tam z nią zaślubić.

Jednego wieczora był lord Aylesbury sam na sam z lady Sarą, a ponieważ milczał, więc piękna wdowa wszczęła rozmowę i skierowała ją chytrze na rywala Edgarowego.

„Nie wiem czy mam panu być wdzięczną,« — rzekła — „czy gniewać się na pana. Oświeciłeś mię we względzie uczuć moich do baroneta. Poważam ja go wprawdzie, lecz go nie kocham. Idę ja za mąż bez najmniejszych złudzeń, i jedynie tarczą cnoty będę się mogła od pokus świata zasłaniać.« •

„I chciałażbyś pani zrzec się baroneta?«

»Być może, gdybym uznała tego potrzebę.«

„Ach, przeczucie moje powiada mi, iż pani nieszczęśliwą z nim będziesz. Usłuchaj pani mojéj rady i pozostań jeszcze dłużéj wdową. Zaczekaj, aż los ci tego sprowadzi, który godnym jest twéj miłości.«

„Czekać...« mruknęła Sara. „A gdybym tymczasem nadaremnie spokojność poświęciła; gdyby zamęźcie, zamiast być mi nieszczęściem, stało się owszem przytułkiem dla serca mego, gdyby kochanek, na którego mi pan czekać każesz, był....«

„O, skończ pani, skończ, zaklinam cię!«

„Gdyby on był żonatym! Czyż nie lepiéj natenczas byłoby dla mnie usłuchać głosu powinności, niż wtrącić się lekkomyślnie w niebezpieczeństwo?«

»Nie, pani; gdyby twój kochanek mógł być przekonanym o szczérości twojego przywiązania...«

»A mógłżeby on o tém wątpić, gdybym raz mu powiedziała: kocham cię! Lecz to wyznanie, mimowolnie ustom moim wyśliznąwszy się, czyżby ono nie powiększyło nieszczęścia naszego? I cóżby natenczas nam pozostało, osobliwie mnie, kobiécie? — Samobójstwo!«

„Zostałby pani — w kraju naszym, w kraju niepodległości — rozwód.«

Lady Sara zakryła sobie twarz rękoma.

„Wielki Boże!« rzekła po chwili. „Na to żadną miarą zezwolić nie mogę. Miałażbym drugiéj kobiécie wydziérać męża, nazwisko, jéj stopień w społeczeństwie! Gdybym nawet ubóstwionego kochanka mego zimnéj zostawić miała rywalce, która go nigdy pojąć nie zdoła, przecież nie będę się nigdy wahała, co w tym razie uczynić.«

„A więc z saméj tylko fałszywéj delikatności chciałabyś pani troje ludzi zarazem unieszczęśliwić? chciałabyś kochanka swego bez litości pastwie nieskończonéj rozpaczy pozostawić? chciałabyś pani ową drugą, niekochaną osobę na wieczną męczarnię poświęcić? gdy przeciwnie, zmiana okoliczności i dla niejże saméj niespodziéwaném szczęściem staćby się mogła — ?«

»Nie śmiem panu odpowiedzieć nato,« — rzekła Sara — »ale co się tycze zamężcia mego z baronetem, dałam się panu odwieść od niego. Uspokój się milordzie, odprawię pana Elmore z niczém.«

Edgar był uszczęśliwiony; uchwycił w uniesieniu rękę kokiety, i okrył ją pocałunkami; wzeszedł mu nowy dzień miłości i nadziei.

Nazajutrz otrzymała lady Aylesbury list następujący:

»Madelino! Przebacz mi! Jestem bardzo występny! Wiém o tém, i czuję to; ale nieposkromiona namiętność unosi mię i poniża w twych oczach. Upokorzony, rozpaczający, ucickam się do twojéj spaniałomyślności i proszę cię — o rozwód. Rozrządzaj moim losem, usłucham twego rozkazu. Pozwoliszże mi żyć, albo sądzisz, żem zasłużył nato, abym zginął?«

Gorąca łza ztoczyła się po licu Madeliny; z cichą rezygnacyją wzięła pióro do ręki i napisała następne słowa:

»Przeczułam wszystko, milordzie. Mnieto owszem chciéj przebaczyć, jeźli prośbie twojéj zadość czynię. Bądź szczęśliwy z lady Sarą. Ja dla ciebie odtąd jestem tylko — Madelina Fitz-Walter.«

(Dokończenie nastąpi.)

## Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 31szy i zawiera: 1) O użyciu kwasu siarkowego do sprawienia roli. 2) O pługu szkockim. 3) Najnowsze doświadczenia w hodowaniu zwiérząt domowych. (Dokończ.) 4) Ciecz do nakrapiania nasienia. 5) Nadzwyczajna mleczność krowy. 6) Stosunek paszy do przyrostku mięsa w wole. 7) Zaprosiny na dziesiąte zgromadzenie niemieckich gospodarzy wiejskich i leśnych, mające się odbyć w Gracu w Styryi. 8) Wiadomości handlowe.

---

Zmiany w obrocie ziemi i księżyca. Porównywając starożytne podania o czasie obrotu księżyca wokoło ziemi z odpowiedniémi dostrzeżeniami nowożytnych astronomów; można się przekonać, iż ten czas obiegu księżycowego, a zatém i średnia odległość księżyca od ziemi, w przeciągu ostatnich dwóch tysięcy lat, ustawicznie się umniejsza, przeco, gdyby to ubywanie ciągle trwało, księżyc wreszcie musiałby spaść na ziemię, i zapewneby zniszczenie jéj sprowadził. Ten zadziwiający wyjątek od powszechnie ustalonych zasad przyrody, zajmował oddawna uwagę astronomów, chociaż trudno im było, znaleźć nato dostatecznego wyjaśnienia. Naostatek jednak powiodło się francuzkiemu astronomi Lagrange zbadać przyczynę tego zjawiska, oraz zupełną jego nieszkodliwość względem ziemi okazać. Na drodze matematycznéj analizy, doszedł Lagrange, iż wskutek wielorakich *perturbacyj* czyli przewichnień, jakim ziemia w swoim rocznym biegu podpada, bieg ten coraz wyraźniéj dotychczasową formę eliptyczną, w formę kolistą zamienia, chociaż przezto czas obiegu ziemi wokoło słońca, i średnia jéj odległość od tegoż, bynajmniéj zmienić się nie może. Daléj okazało się, iż jedynie ta zmiana formy obiegu ziemi wokoło słońca, zmieniając naprzód stosunkową odległość między ziemią a słońcem, a zarazem i wynikający ztąd wzajemny wpływ ich na siebie, owo zbliżanie się księżyca ku ziemi sprawiła; niemniéj, że te wszystkie zjawiska, są li peryjodyczne, czyli czasowo-okresowe, i że po kilku nowych tysiącach lat, roczny bieg ziemi z swojéj terazniejszéj prawie kolistéj formy, do dawnéj eliptycznéj powróci, a odpowiednio temu i księżyc zarówneż od ziemi oddalać się będzie musiał — zaczem znowuż wszelkie niebezpieczeństwo spadnięcia księżyca na ziemię, ustanie. *)

Przeszłość w terazniejszości. »Światło mojéj lampy gazowéj, jakoteż palący się przede mną na kominku ogień,« — mówi sławny geolog angielski, Buckland — »pochodzą oboje z węgli kamiennych, które od wielu, wielu tysięcy lat w głębiach ziemi ukryte spoczywały. Dziś gotujemy obiad, grzejemy piecy, opalamy maszyny nasze za pomocą ognia z roślinnych szczątków dawno zamarłéj wegetacyi, która zniknęła wówczas, gdy jeszcze takzwane przechodowe formacyje gór zupełnie się nie wykształciły. Nasze noże, instrumenta, narzędzia, nasze gospodarskie naczynia, bronie, wszystko to sporządzone jest z żelaza, które niekiedy jeszcze starsze jest od samychże warstw węgla kamiennego, z jakiémi czasem zmieszane je znajdujemy, a które niekiedy spółcześnie z temi warstwami się tworzy. Tak, dwa nader potrzebne materyjały, węgiel kamienny i żelazo, które bardziéj niż jakikolwiek inny płód ziemi, do szczęścia i bogactwa ludzi się przyczyniły, dobywamy jużto z olbrzymich zwalisk onych odwiecznych borów, które pierwotny ląd ziemi ocieniały, jużto z żelazonośnych warstew szlamu, które w głębi pierwotnych mórz osiadły.«

Szkło dające się kuć młotem. Pewien korespondent angielskiego dziennika »*Builder*« pisze do redaktora tegoż pisma: »Niedawno udzieliłeś pan wiadomości o śkle kowalném, które, jak utrzymują, wynaleziono we Francyi. Otóż w dziele Wanley'a pod napisem »Cuda małego świata« możesz pan wyczytać, iż pewien jegomość pokazał burmistrzom w Amsterdamie śklanną butelkę, którą naprzód, rzuciwszy nią o ziemię, mocno zpłaszczył, a potém za pomocą młotka, do dawnego stanu przywrócił. Wszakże nazajutrz rano znaleziono go na ulicy zabitego. Pan S. Acton, syn zmarłego S. Acton z Eustonsquare, wynalazł również sposób urabiania śkła kowalnego, lecz obawiając się odebrać przezto chleb fabrykantom śkła, a może także lękając się losu swojego poprzednika w Amsterdamie, nie chciał odkryć wynalezionej przez siebie tajemnicy.«

Instynkt ryb. Francuzki naturalista Coste przedłożył akademii francuzkiéj pismo, w którém następujące szczegóły o zadziwiającym instynkcie ryb opowiada: Maleńka rybka płotka (płódka), znajdująca się prawie we wszystkich wodach bieżących, zdumiewa nas swoją nadzwyczajną skrzętnością. Zajmuje ona się najskrzętniéj budowaniem sobie gniazda, które w niczém gniazdom sławnych z tego rodzaju pracy ptaków nie ustępuje. Najczęściéj trudni się samiec tą pracą, i okazuje przytém niesłychaną biegłość i dziwny przemysł. Po ukończeniu gniazda, zaprasza w nie samiczki, aby tam jajeczka niosły. Osadziwszy tak kilka samiczek na osobnych gniazdach, podejmuje on się około nich straży. Samiczki jednak, pohulawszy sobie tymczasem w wodzie, wracają nazad głodne do gniazda, aby swoje jajeczka pożarły a gniazda zburzyły. Natenczas samiec odpędza je mężnie, nadrabiając odwagą i podstępem, a w ciągu samegoż nieustannego z wyrodnémi matkami boju, wierci on swojémi skrzelami w ścianach każdego gniazda sztuczne otwory, aby niémi czysta woda do środka wniknąć

---

*) Ileżto kroć razy w nieskończennym czasie, nie mogła być północ tam, gdzie teraz jest południe, a południe tam, gdzie teraz jest północ; bo naturą czasu, jest zmiana, a naturą ciał, obrót. *Przyp. Red.*

mogła, a młode dostateczną ilość powietrza do oddechania miały.

**Czytelnie za granicą.** Do największych zakładów tego rodzaju, znajdujących się w każdém znaczniejszem mieście Niemiec, Francyi i Anglii, należy czytelnia muzeum lipskiego, mająca kilka ozdobnych pokoi, w których przeszło 300 znajduje się dzienników i czasopisem, ułożonych podług różnych wydziałów; i tak jeden wydział zawiéra pisma polityczne, 2) pisma prawodawcze i urzędowe, 3) piękną literaturę, 4) filozofiję, 5) filologiję, 6) teologiję, 7) prawnictwo, 8) publicystykę i ekonomiję polityczną, 9) handel i przemysł, 10) matematykę, 11) nauki przyrodzone, 12) medycynę, geografiję i historyję, 13) umnictwo.

**Dawne państwa korsarskie** coraz się bardziéj cywilizują. Wiadomość o szczęśliwem ocaleniu króla Francuzów z niebezpieczeństwa, jakiém zamach Lecomte'a go zagroził, sprawiła w Tunecie niewymowną radość. Wszystko co żyje, wyruszyło pieszo, konno, w powozach, do kaplicy św. Ludwika na gruzach Kartaginy, aby tam Najwyższemu dzięki złożyć; poczém tunetański minister Raffo wszystkich obecnych, ile ich tylko zmieścić się mogło, gościnnie u siebie podejmował. Podczas uczty, odbytéj w pośrodku puszczy, minister tak groźnego niegdyś Tunetu, wychylił puhar pieniącego się szampana na cześć »obrońcy europejskiego pokoju«, a sam bej wyprawił umyślny okręt, aby się także do téj powszechnej radości przyłączyć. Co więcéj, podczas *Te Deum* w kaplicy św. Ludwika, tuneckie działa na wałach twierdzy, grzmiały jakby w mieście francuzkiém.

**Pewien mieszkaniec Hermansztadu** złożył w tamecznej kasie oszczędności 100 reńskich, i rozporządził tą sumą jak następuje: Gdy wliczone do kapitału procenta owéj sumy, wraz z kapitałem, w sumę 12 milijonów urosną, co po 300 latach się stanie, ma być 1 milijon użytym na założenie kościoła, 1 mil. na założenie szkoły wzorowéj dla nauczycieli miejskich, 1 mil. na zbudowanie szpitalu, 2 mil. na urządzenie wzorowego zakładu gospodarczego, wraz ze szkołą rolniczą; reszta ma być użytą na wybrukowanie i upiększenie miasta, założenie żelaznéj kolei do poblizkich łomów kamieni, a wreszcie na cele dobroczynne, stosownie do panującego ducha czasu. Ostatni milijon zaś podzielą potomkowie testatora pomiędzy siebie.

**Machiny a ręka ludzka.** Przeszło 100.000 ludzi pracowało przez 20 lat nad wielkiemi piramidami egipskiémi. Pan Dupin obliczył, iż całéj téj pracy dokonałyby teraz parowe machiny angielskie w przeciągu ośmnastu godzin.

**Królowa Wiktoryja i dama dworu.** Księżna Southerland, którą niedawno najwyższą ochmistrzynią królowéj Wiktoryi mianowano, piastowała już przed kilką laty tęż godność, a owczesne wystąpienie jéj z téj posady było następném zdarzeniem spowodowane: Królowa Wiktoryja ma w wysokim stopniu narodową angielską cnotę punktualności, i żąda też, aby wszystkie otaczające ją osoby nigdy onéj nie zaniedbywały. Jednego razu zebrał się był dwór cały, aby być obecnym przy pewnéj uroczystości publicznéj. Sama tylko księżna Southerland, któréj honorowe miejsce obok królowéj się należało, jeszcze była nie przyszła, a jéj nieobecność opóźniała wyjazd całego dworu. Na próżno przeminął kwadrans, w ciągu którego jéj król. mość już kilkokrotnie niecierpliwość swą okazała. Nareszcie gdy królowa po daremnem oczekiwaniu sama już do powozu wsiąść miała, nadchodzi księżna prawie bez tchu i zmieszana, i jakąś wymówkę wyjąkła. »Moja kochana księżno,« ozwie się królowa, »musisz miéć zły zégarek;« — a mówiąc to, zdejmuje młoda monarchini swój własny przepyszny zégarek i zawiesza go damie honorowéj na szyi. Ta nauczka, lubo w kształcie świetnego daru udzielona, sprawiła głębokie wrażenie. Księżna pobladła, osłabła, i z trudnością łzę przytłumiła. Nazajutrz podała prośbę o uwolnienie od godności, do któréj teraz znowu powróciła.

**Bajka indyjska.** Pewien podróżny ujrzał w lesie lisa uciekającego coprędzéj do swojéj nory, i spytał go: »Cóż ci tak pilno? Czyżeś co złego zbroił i lękasz się chłosty za to?«— »Ach, nie« — rzekł lis — »mam wcale czyste sumienie; lecz oto słyszałem właśnie, jak dwóch strzelców umawiało się, złowić gdzie wielbłąda, i w niewolą go uprowadzić.» — »No, i cóż to ciebie obchodzi« — ozwał się wędrownik »tyś przecie nie wielbłądem.« — »Ach mój Boże!» — westchnął lis — »mądre głowy mają zawsze nieprzyjaciół. Niech mię ktokolwiek pokaże strzelcom i powie: Oto wielbłąd! a obaczyłbyś, iżby mię zaraz schwytali, i w kajdany okuli, i mogłyby lata upłynąć, nimby ktoś spytał, czy ja też doprawdy témsamém zwierzęciem jestem, za które ów mię wydał.«

**Najmodniejszą zabawą w Anglii** jest teraz żegluga napowietrzna, a przejazdżki pod przewodnictwem aerostaty Greena należą do powszednich rozrywek. Ostatnią taką przejażdżkę przedsięwzięło 29. czerwca ośmiu gentlemanów, którzy wzniósłszy się w Gremorne-Gardens w Londynie, ulecieli w zachodnim kierunku ponad park St. James, Trafalgar-square, Strand i t. d. Będąc nad pałacem Buckingham'skim, wypito na cześć królowéj i odśpiéwano hymn narodowy; później wychylono zdrowie Ibrahima-baszy, który był przy wzniesieniu balonu. Wiatr dął silnie, a balon uleciał w półgodzinie przestrzeń 21 mil angielskich, czyli przeszło 4 mil jeograficznych, i został w Strauford-Rives w hrabstwie Essex przez pana Greena szczęśliwie na dół spuszczony.

**Smutne skutki pięknego lata.** Jeden z ostatnich numerów paryzkiego »*Charivari*« przedstawia pocieszną karykaturę pod powyższym napisem: Widzimy wnętrze teatru; pierwsze amantki lamentują, iż przed próżnémi ławkami w tak kosztownéj toalecie wystąpiły; sufler spi w swojéj budce, nad którą też i dyrektor orkiestry właśnie się zdrzémał, a kasyjer donosi dyrektorowi, iż całego dochodu z dzisiejszego przedstawienia jest 3 franki 25 cent., pomiędzy którémi jeszcze jeden fałszywy frank się znajduje. I w istocie nie przesadza w tém »*Charivari*«; wszystkim teatrom paryzkim powodzi się bardzo źle tego lata; a niektóre nie umiały sobie inaczéj zaradzić, jak że po prostu dwa albo trzy razy w tydzień wcale widowisk nie dają.

**Spekulant.** Dzienniki Nowojorskie opowiadają, iż jeden z mieszkańców Nowego Jorku udał się do południowych okolic Państw Zjednoczożych, aby tam kosztowny sklep jubilerski otworzyć. Cały jego kapitał składał się z — wytrycha.

---

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Frańciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.